w Rzeszowie

WIDNOKRĄG

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"

Nr 19 (241)

Rok VI

15 V 1966 r.

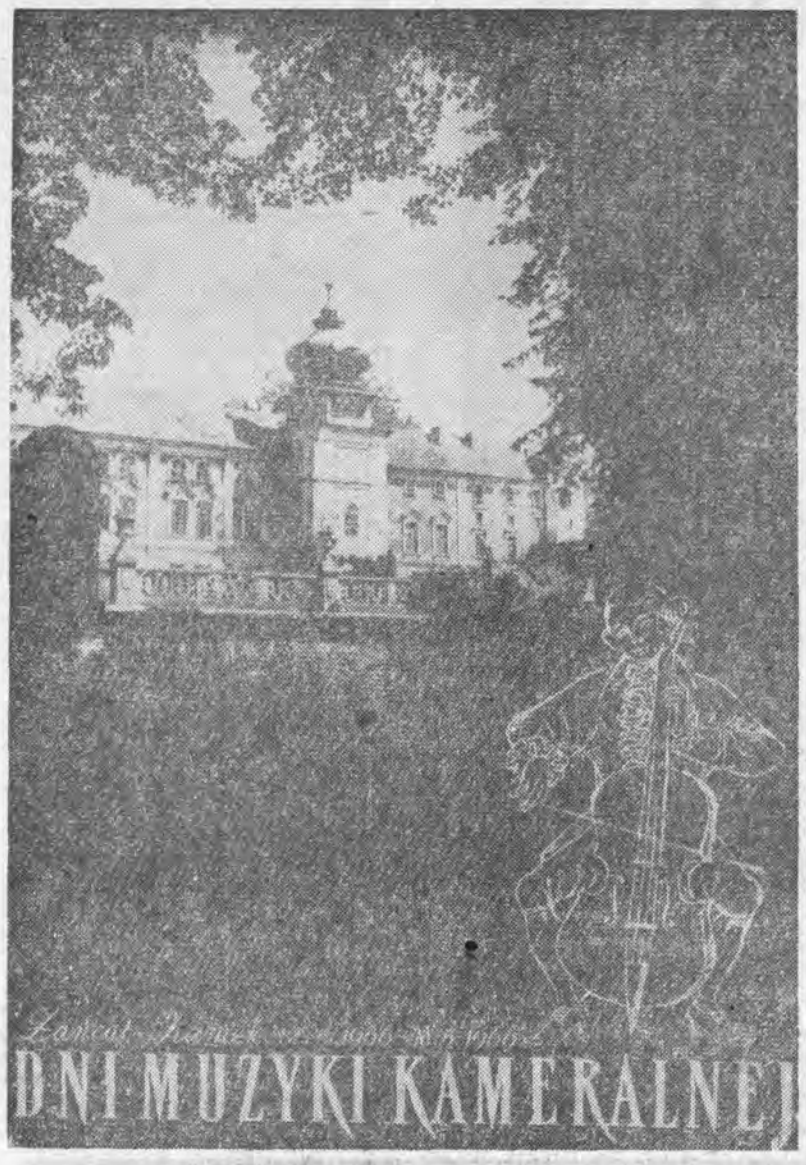

ŁAŃCUCKIE ROZMOWY MUZYCZNE

Od czwartku — jak co roku w maju — zamek łańcucki przekształcił się znów w siedzibę polskiej kameralistyki. Co wieczór salę balową wypełniają do ostatnich miejsc melomani, wielbiciele koncertów Dni Muzyki Kameralnej. Siedem urzekających wieczorów...

I tak już jest, że jeżeli tu ktoś raz trafi, wraca, by poddać się urokowi muzyki, która w Łańcucie ma inne, jakoby jeszcze szlachetniejsze brzmienie.

VI Dni Muzyki Kameralnej otrzymały szczególnie uroczystą i cenną oprawę. Jest nią sesja naukowa poświęcona wybranym zagadnieniom głównie z polskiej kameralistyki od XVI wieku do współczesności. Sesja, która rozpoczęła obrady dziś w sobotę, trwać będzie do wtorku włącznie. W ciągu 4 dni wygłosi referaty 12 muzykologów. M. in. doc. dr Włodzimierz Poźniak, który prowadzi sesję z ramienia Katedry Historii i Teorii Muzyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, będzie mówił „O stanie badań nad polską muzyką kameralną XIX wieku", mgr Zofia Stęszewska z Warszawy wygłosi referat pt. „Opracowania tańców polskich na zespoły instrumentalne w wieku XVI i XVII, dr Zygmunt Szweykowski z Krakowa — „Z zagadnień kameralistyki polskiego Baroku", a doc. dr Aleksander Frączkiewicz również z Krakowa będzie mówił o zagadnieniach kameralistyki na przełomie Baroku i Oświecenia.

Referaty, które w większości będą miały koreferentów, otrzymają ilustrację muzyczną, odtwarzaną na aparaturze magnetofonowej. Konstruktor krakowski mgr inż. Zdzisław Krzystek bezinteresownie oddał ją do dyspozycji organizatorów na czas trwania sesji. Natomiast referat o muzyce organowej Baroku mgr Katarzyny Baryczewskiej z Warszawy, będzie ilustrowany recitalem w Leżajsku. Na XVII-wiecznych organach grać będzie doc. Tadeusz Machl z Krakowa.

W sesji biorą udział teoretycy z Warszawy, Poznania i Krakowa.

Przed 5 laty, gdy postanowiono rokrocznie odbywać w zamku łańcuckim Dni Muzyki Kameralnej, zrodziła się myśl równoczesnego organizowania seminariów lub sesji naukowych poświęconych kameralistyce. Tę imprezę towarzyszącą Dniom inauguruje obecnie sesja naukowa przygotowana przez Katedrę Historii i Teorii Muzyki Uniwersytetu Jagiellońskiego i Wydział Kultury Prezydium WRN w Rzeszowie. Jest ona zarazem przyczynkiem do uświetnienia obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego i Kongresu Kultury Polskiej, który odbędzie się w październiku w Warszawie.

Witamy uczestników sesji na Rzeszowszczyźnie i serdecznie życzymy: owocnych obrad!

M. G.

Zdzisław Kozioł

SPRAWY NIE TYLKO NAUCZYCIELI

W dniu dzisiejszym obraduje Okręgowy Zjazd Delegatów Związku Nauczycielstwa Polskiego. Czteroletni okres od poprzedniego zjazdu był dla szkolnictwa znamienny; zrealizowano bowiem główne zadania związane z reformą szkół podstawowych, przygotowano podstawy do zreformowania szkolnictwa średniego, dokonano poważnych zmian w szkolnictwie wyższym. I te zagadnienia dominowały w pracy Związku.

W swej działalności instancje ZNP starały się łączyć sprawy szkoły z codziennymi troskami nauczycieli. Stąd tak dużo uwagi poświęcały zagadnieniom socjalno-bytowym.

Ale problemy nurtujące ZNP dotyczą nie tylko nauczycieli; usprawnieniem pracy szkół, efektami działalności dydaktyczno-wychowawczej zainteresowane jest całe społeczeństwo, bo właśnie szkolnictwo jest czynnikiem w poważnej mierze decydującym o przyszłości młodzieży, o upowszechnieniu kultury narodowej.

Prezes Zarządu Okręgu ZNP Józef Kolbusz udostępnił mi materiały przesłane delegatom; obszerne, liczące ponad 100 stron sprawozdanie okręgowej instancji obejmuje wszystkie dziedziny pracy Związku. W sposób analityczny zwraca uwagę na sprawy wymagające szczególnej troski władz związkowych i oświatowych. Zawarte w nim są także liczne postulaty, których realizacją nauczyciele są żywo zainteresowani. Niektóre z nich zgłaszane są nie po raz pierwszy...

Wiele z poruszonych w sprawozdaniu zagadnień wymaga poszerzenia, co niewątpliwie delegaci uczynią. O wielu zaś sprawach, w interesie szkoły i nauczyciela, trzeba mówić publicznie... Zjawiskiem bezspornym jest wzrost zainteresowania szkolnictwem oraz pracą nauczyciela. Zainteresowanie to jest nieodzownym, lecz tylko wstępnym warunkiem realizacji zwięźle sformułowanego postulatu więzi szkoły z życiem. Ale czy w wielu wypadkach nie ogranicza się ono do powierzchownej krytyki jakiejś szkoły czy nawet zdarzenia, do krytyki uogólniającej. Mamy do czynienia ze stwoistymi stereotypami. Jakże często jeszcze o szkole i nauczycielu mówi się w superlatywach tylko z okazji uroczystości, a na co dzień różnie. Czy uzasadnione są np. głosy o degradacji społecznej roli nauczyciela?

Warto przytoczyć ciekawe dane statystyczne zawarte w sprawozdaniu Zarządu Okręgu ZNP. Szkolnictwo w Rzeszowskiem zatrudnia ogółem 20 705 pracowników, w tym 12 731 nauczycieli. Liczby te porównajmy z liczbą pełnionych przez nich funkcji społecznych. Otóż w ubr. nauczyciele sprawowali ponad 6 tys. funkcji mandatowych w komitetach FJN, radach narodowych, organizacjach młodzieżowych, organizacjach społeczno-gospodarczych oraz w stowarzyszeniach społecznych. Który z innych zawodów jest tak społecznie aktywny? Środowiska nauczycielskie są w dalszym ciągu kuźnią kadr społecznych.

Przytoczone dane wymagają głębszej analizy. Okazuje się bowiem, że w 1963 roku nauczyciele pełnili znacznie więcej, bo ponad 8,5 tys. funkcji mandatowych, chociaż szkolnictwo zatrudniało wówczas mniej pracowników. Czym należy tłumaczyć ten dość poważny spadek? Kryzysem popularności nauczycieli? Większym zaangażowaniem szkołą, pracą dydaktyczno-wychowawczą?

Przede wszystkim musimy uwzględnić, że poprzednio nauczyciele byli nadmiernie obciążeni zajęciami pozaszkolnymi. Dotyczy to głównie nauczycieli wiejskich, którzy i obecnie pełnią dwukrotnie więcej funkcji niż ich koledzy z miast. Do zbyt wielu prac są angażowani kierownicy szkół; jeden z nich np. pełnił 11 funkcji z wyboru, funkcji bynajmniej nie tytularnych, lecz wymagających ustawicznej obecności poza szkołą. Taki stan nie mógł pozostawać bez wpływu na merytoryczną działalność szkoły.

Zmniejszenie liczby funkcji pełnionych przez nauczycieli jest chyba w głównej mierze spowodowane aktywizacją środowiska; nauczyciel przestał być jedynym aktywistą w terenie, na wsi pojawili się przedstawiciele innych zawodów inteligencji. Nie bez znaczenia są także rezultaty dotychczasowej pracy nauczycieli, którzy — śmiało rzec można — wychowali kadrę społeczników. Wzrost zadań stojących przed szkolnictwem wymagający m. in. stałego podnoszenia wiedzy, dalszych studiów, pochłania nauczycielom coraz więcej czasu.

Mówiąc o roli nauczyciela i jego prestiżu nie można się ograniczyć do danych statystycznych obrazujących aktywność przedstawicieli tego zawodu. Środowisko zaczyna oceniać nauczyciela nie tylko według jego pracy społecznej; dziś w pierwszym rzędzie wymaga od niego, by jak najlepiej przygotowywał młodzież do nauki w szkole wyższego szczebla czy pracy zawodowej. Słowem, by dobrze uczył.

Środowisko ocenia postawę nauczyciela, często może według swoistych kryteriów; żąda, by był wzorem dla młodzieży, wzór zaś często kojarzy się ludziom z ideałem.

Jednym z ważniejszych zadań organizacji nauczycielskich winno być kształtowanie właściwych stosunków między ludźmi.

Dlaczego organizacje nauczycielskie, związkowe i partyjne nie są często w stanie rozwiązywać konfliktów? Przenoszą się one niekiedy poza szkołę. do środowiska, które opowiada się po jednej lub drugiej stronie. Znam wypadki, gdy właśnie przedstawiciele środowiska występowali w roli mediatora.

Wiem, że piszę o sprawach drażliwych; nie wskazuję na rozmiary tego zjawiska, bo statystycznie ująć go nie można, ale nie sądzę, by należało je przemilczać. Nauczyciele wysoko cenią etykę zawodową, żywo reagują na przejawy jej naruszania. Gdy zaś zainteresuje się nimi opinia publiczna, poczuwają się niejako do zbiorowej odpowiedzialności. Stąd często przesadna drażliwość i powód do nieporozumień; przecież uzasadniona krytyka konkretnych zdarzeń i faktów nie godzi w autorytet całego zawodu.

* * *

Nauczyciele, społecznie aktywna grupa zawodowa, wykazują niekiedy zdumiewającą bezradność w rozwiązywaniu spraw własnych. Dzieje się tak może dlatego, że sporo wysuwanych przez nich postulatów nie jest przez władze w terminie załatwiane. Dotyczy to chociażby spraw socjalno-bytowych, polityki kadrowej, respektowania przepisów określających uprawnienia nauczycieli, kryteriów oceny ich pracy.

Nauczycieli boli drastyczne, żeby nie powiedzieć brutalne ingerowanie w ich wyłączne kompetencje. Mamy tu do czynienia z negatywnymi skutkami decentralizacji w zarządzaniu szkolnictwem; niektóre terenowe rady narodowe po prostu nie były przygotowane do kierowania szkołami. Zdarzały się np. wypadki niekompetentnego wyrokowania co szkole jest potrzebne, a co nie. Ale nie to jest jeszcze najgorsze, z biegiem czasu bowiem sytuacja zmienia się na lepsze. Problemem natomiast w dalszym ciągu jest ingerowanie w merytoryczne kompetencje nauczyciela. Mechanizm tych praktyk jest różny, a efekty...? Interwencje te odczuwają jako brak zaufania oraz demoralizowanie uczniów.

Wspomniałem o sprawach socjalno-bytowych nauczycieli. Pisałem o nich zresztą niejednokrotnie. Sporo uwagi poświęca im referat sprawozdawczy Zarządu Okręgu ZNP. Warto podkreślić, że nastąpiło polepszenie sytuacji mieszkaniowej nauczycieli, chociaż do pełnego zaspokojenia potrzeb brakuje jeszcze blisko 1 400 izb. Zatrudnienie nowych nauczycieli potrzeby te zwiększy. Instancje ZNP postulują umożliwienie nauczycielom wstępowania do spółdzielń mieszkaniowych oraz budowę domu nauczyciela na wsi.

Socjalno-bytowe postulaty Związku dotyczą m. in. lepszej opieki lekarskiej, przydziału większej ilości skierowań do sanatoriów, lepszej organizacji kolonii dla dzieci nauczycielskich, wyższych wynagrodzeń za godziny nadliczbowe itp. Sytuacja ekonomiczna w jakimś stopniu wpływa na efekty pracy; np. nauczyciel nadmiernie przeciążony godzinami nadliczbowymi nie jest w stanie starannie przygotowywać się do zajęć. Nb. rozdział tych godzin bywa niekiedy źródłem, oględnie mówiąc, niesnasek wśród nauczycieli.

Kilka uwag dotyczących spraw kadrowych szkolnictwa. Coraz więcej nauczycieli posiada dodatkowe kwalifikacje, występują już nawet lokalne nadwyżki nauczycieli przy równoczesnym, dotkliwym często braku niektórych specjalistów. Wyłania się również problem nauczycieli w wieku emerytalnym. Wielu z nich swoją wiedzą i doświadczeniem chcą i mogą nadal służyć sprawie wychowywania i kształcenia młodzieży, inni zaś powinni pójść na zasłużony odpoczynek. I tu wyłaniają się bardzo skomplikowane zagadnienia, bo np. emerytowany kierownik szkoły wiejskiej, posiadający uprzednio służbowe mieszkanie, ogródek czy nawet małe przedsiębiorstwo znajdzie się w niezwykle trudnej sytuacji. Chodzi nie tylko o bardzo ważne sprawy materialne; wielu nauczycieli przejście na emeryturę traktuje jako kres ich przydatności zawodowej i społecznej. Są to problemy trudne, bo dotyczą istotnych spraw ludzkich. I powinny one być w centrum uwagi instancji ZNP oraz władz oświatowych. Ale nie w każdym wypadku podołają same lokalne władze szkolne i związkowe.

* * *

Ogół społeczeństwa jest szczególnie zainteresowany działalnością dydaktyczno-wychowawczą szkół. Z wniosków Zarządu Okręgu ZNP zmierzających do jej usprawnienia wymienię: rozwijanie wśród nauczycieli ruchu nowatorstwa pedagogicznego; polepszanie warunków materialnych pracy szkół; stworzenie nauczycielom możliwości podnoszenia kwalifikacji zawodowych drogą studiów zaocznych i eksternistycznych. Niemałą rolę spełni Wyższa Szkoła Pedagogiczna, ale jak słusznie podkreśla Zarząd Okręgu ZNP, uczelni niezbędna jest pomoc m. in. w przyśpieszeniu budowy koniecznych obiektów.

Rozwiązanie każdego z tych problemów wymaga sporo wysiłków i środków finansowych. Np. szkolnictwu podstawowemu brakuje 931 pracowni fizycznych i chemicznych oraz 837 pracowni zajęć praktycznych. Na zlikwidowanie tych braków rzeczywiście potrzeba czasu i środków finansowych, ale czym jest uzasadniony brak pieniędzy na stworzenie funduszu postępu pedagogicznego, który już dawno powstał w innych województwach?

* * *

Wymieniłem tylko niektóre ze spraw nurtujących środowiska nauczycielskie. Odpowiedzialna i wciąż trudna praca nauczyciela wymaga nie deklaratywnego uznania i okolicznościowych pochwał, ale przede wszystkim zrozumienia oraz pomocy w pomnażaniu osiągnięć szkolnictwa, usuwaniu trudności, przezwyciężaniu braków. A tym zainteresowani są nie tylko nauczyciele.

Ryszard Bilski

GDAŃSKA WIOSNA

Olbrzymie 10-metrowej średnicy drewniane koło, serce zabytkowego, jedynego w Europie „Żurawia" wygląda jak za czasów jego świetności. Pachnie świeżością farb, zadziwia starannością rekonstrukcji.

Pradziadek nowoczesnych portowych, elektrycznych dźwigów, którego historia sięga XIII w., przez wiele, wiele dziesiątków lat służył do przeładunku towarów, był tak „silny", że mógł podnosić nawet holowniki. Jeszcze na początku obecnego stulecia „Żuraw" był w użyciu napędzany przez... ludzi, którzy znajdowali się wewnątrz olbrzymiego koła i depcząc coraz wyżej po jego obwodzie wprawiali urządzenie w ruch.

Byłem chyba jednym z niewielu i pierwszych szczęśliwców, któremu pozwolono obejrzeć mechanizm dźwigu. Przed zaledwie kilkoma miesiącami zakończono bowiem na dobre odbudowę gdańskiego „Żurawia", w którego pomieszczeniach już znacznie wcześniej, bo od 1962 roku urządzane są systematycznie wystawy na tematy morskie. Od czterech lat mieści się w „Żurawiu" muzeum, które spełnia dużą rolę, w tzw. froncie wychowania morskiego.

Placówka ma charakter naukowo-dydaktyczny. W ciągu roku urządza 4—5 ekspozycji. Biorąc pod uwagę szczupłość pomieszczeń (ok. 500 m kw. powierzchni wystawowej) można tylko przyklasnąć operatywnemu kierownictwu i zadziwić się — „jak oni to robią"?

Obecna wystawa nosi tytuł — „Spływ wiślany w dawnych wiekach". Temat dla muzeum morskiego raczej nietypowy, ale że początek żeglugi w ogóle to przecież Nil i Ren, a 3 tysiące statków, które płynęły w ciągu roku Wisłą do Gdańska nie jest bez znaczenia — uzasadniony.

Wśród statków były i kolosy. Szkuty — największe mogły w swych ładowniach pomieścić 80 ton zboża. Nie ustępowały ówczesnym średniej wielkości statkom pełnomorskim.

Gdańsk przez stulecia był wizytówką Polski, wskaźnikiem jej potęgi i sytuacji gospodarczej. Dzieje portowego miasta ściśle wiązały się z rozwojem Rzeczypospolitej.

Potwierdzają to nawet niektórzy zachodnioniemieccy autorzy. „L. Denne przyznaje, że Gdańsk został założony przez Pomorzan i że dopiero „pod wpływem" Zakonu Krzyżackiego stał się niemieckim miastem, k t ó r e s w o j e b o g a c t w o z a w d z i ę c z a ł o n a t u r a l n y m z w i ą z k o m z p o l s k i m z a p l e c z e m g o s p o d a r c z y m (podkreślenie rb.). Oderwanie się tego zaplecza w okresie rozbiorów spowodowało upadek ekonomiczny Gdańska. Przyznaje, że dla „wolnej i niezawisłej" Polski dostęp do morza miał zasadnicze znaczenie i że utworzenie Wolnego Miasta stanowiło rozwiązanie kompromisowe. Podtrzymuje przy tym dawno już przez autorów polskich obaloną tezę, iż Wolne Miasto Gdańsk było „samodzielnym państwem".[1])

„Na użytek rewizjonizmu instytuty wschodnie opracowują nacjonalistyczny obraz dziejów Niemiec (...), panują nad całym systemem nauczania w szkołach i na uniwersytetach. Urzędowe zalecenia ministerstw podnoszą z naciskiem, „aby szkoły podtrzymywały i pielęgnowały w dorastającym pokoleniu wiadomości o oderwanych tymczasowo od Niemiec terenach na wschodzie (...) we wszystkich przedmiotach nauczania, zwłaszcza w historii, geografii (...). Fałszowanie lub wypaczanie historii koncentruje się przede wszystkim na sprawach Pomorza Gdańskiego, podręczniki szkolne bowiem przemilczają między innymi fakty, że w latach 1308/9 Krzyżacy opanowali podstępnie Pomorze Gdańskie, że miasta i stany pruskie wskutek ich ucisku utworzyły Związek Pruski, wypowiedziały posłuszeństwo Zakonowi i zażądały przyłączenia do Polski."[2])

W XV wieku miasto liczyło zaledwie 20 tys. mieszkańców. Ożywienie gospodarcze kraju, wzrost handlu zbożem, spowodowały dynamiczny jego rozwój. W okresie zbożowego szczytu w Gdańsku mieszkało 75 tys. osób. Ale po rozbiorach nastąpił regres. Liczba mieszkańców spadła do 35 tys. Trudno chyba o bardziej wyraźny przykład powiązania zależności rozwoju portu i miasta, Gdańska i kraju (w 1670 roku do portu weszło 725 statków, a w 1812 już tylko 34). Do 1400 roku Gdańsk był drewniany, dopiero później w okresie rozwoju portu w mieście tworzy się nowa „murowana" architektura.

Dziś Gdańsk przeżywa znów okres rozkwitu. Miasto i port. Służą całemu krajowi. Eksport, import: węgiel, warzywa i owoce, helikoptery i lokomotywy, fosforyty... szybciej i więcej. 6-tysięczna załoga portu ma pełne ręce roboty.

Wśród gdańskich portowców są chłopi z woj. białostockiego, rzeszowskiego, absolwenci warszawskich i krakowskich wyższych uczelni technicznych, ekonomicznych, byli budowniczowie Nowej Huty i Turoszowa. Przyjechali popróbować „morskiego" życia. Większość z nich osiedliła się, zadomowiła na stałe. Założyli rodziny, mają mieszkania. Powodzi im się nieźle. Nie do wszystkich los się uśmiechnął. Budownictwo mieszkaniowe mimo gdańskiego tempa, nie ustępuje warszawskiemu, nie nadąża za potrzebami.

Trudno dziś mówić o Gdańsku w oderwaniu od Gdyni, Sopotu, a nawet Rumi czy Redy. Gdańsk, Gdynia, Sopot — stanowią już obecnie pod wieloma względami wspólny organizm miejski. Zbliża je i łączy nie tylko szybka kolej elektryczna, lecz także zabudowa i powiązania ekonomiczne.

Wspólnie rozwiązuje się wiele problemów tego miejskiego kolosa. W zespole miast mieszka obecnie blisko połowa obywateli całego powiatu. Utworzono m. in. wspólny wydział zatrudnienia i rolnictwa. Dla wielomiasta (już nie tylko Trójmiasta) planuje się budowę wspólnego centrum na wolnych jeszcze terenach pomiędzy Gdańskiem a Gdynią.

Czynnikami miastotwórczymi są w Gdańsku port i stocznia. Tworzą nowe miasto, jego nowoczesną architekturę. Przyszłość.

Nie zapomina się także i o starym Gdańsku. Odbudowa Starówki zakończy się gruntownie do 1970 r. Uporządkowane zostaną nieliczne, ale szpecące jeszcze place z wypalonymi szkieletami domów. Podjęto w tej sprawie specjalną uchwałę Miejskiej Rady Narodowej, a architekci ze Starówki otrzymali glejty — „społecznych architektów" — i będą sprawować nadzór nad dalszą odbudową i porządkowaniem dzielnicy.

Przyglądam się dużej, barwnej makiecie. Przecięta niebieską wstęgą Wisły z dziesiątkami punkcików na jej brzegach. Oznaczają przystanie rzeczne — XVI i XVII-wieczne porty zwane wówczas palami. W dosłownym tego słowa znaczeniu. W dno rzeki przy brzegu wbijano duży pal i do tak prymitywnie urządzonej przystani zawijały nie tylko tratwy, lecz nawet i duże statki rzeczne.

Modele wiślanych statków stanowią mocną pozycję gdańskiego muzeum. Wiele z nich wykonał z wierną dokładnością (w oparciu o sporządzoną przez jednego z austriackich inżynierów dokumentację polskich statków — rząd austriacki nosił się z zamiarem wykorzystania jej przy organizacji własnej żeglugi) bardzo precyzyjnie Paweł Zieliński — szyper ze Stoczni Gdańskiej. To jego hobby. Sam wywodzi się z flisackiej rodziny. Dość powiedzieć, że urodził się na barce. Budowa modelu zabiera mu nieraz i pół roku.

Eksponaty pochodzą także i z innych źródeł. Wzrok przyciąga XVII-wieczny „Galeon" (wykonany w XVII wieku). Bywalcy Fukierowskiej pijalni w Warszawie pamiętają go zapewne — wisiał u sufitu jednej z sal. Drogą nieco okrężną trafił do Gdańska. Nie mniej efektowną „Estraele" z 1788 roku przekazało Muzeum Przyrodnicze z Cieplic.

Muzeum Morskie w Gdańsku posiada ponad 150 modeli statków. Każdy budowany w polskich stoczniach statek ma w muzeum swoją miniaturę. Są tu nawet statki, które były projektowane, a nie zostały wykonane, np. 40-tysięcznik — tankowiec.

(Ciąg dalszy na str. 3)

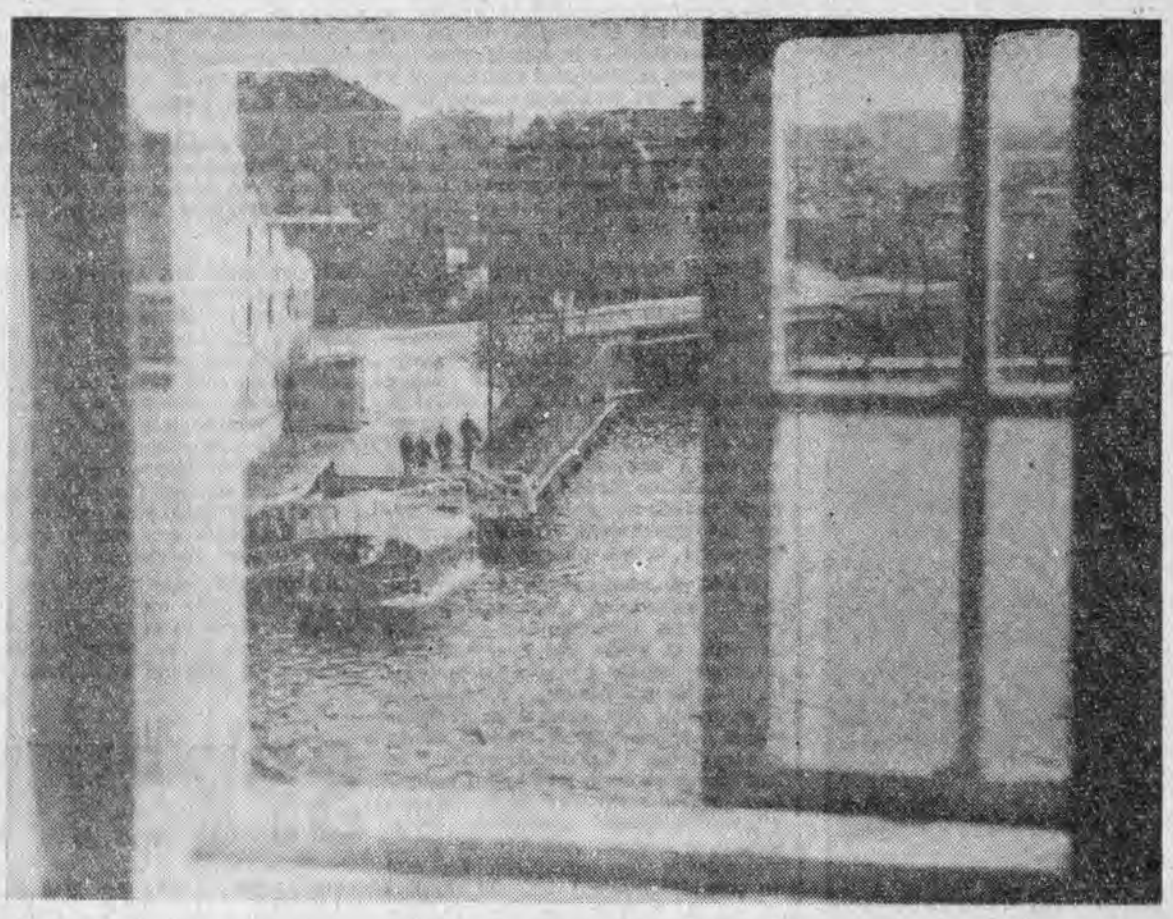

Z okna „Żurawia" widok na Motławę.

BOGDAN LOEBL

WIEŻA

Beton placu i chodników świecił matowymi odbiciami lamp. Deszcz już nie padał. Za plecami milkło, przechodziło w szmer huczenie ula dworca.

Na rogu dwaj milicjanci z paskami pod brodą odwrócili za nami leniwie głowy. Z tła ciężkiej, ciemnej bryły bloku skoczył ku nam neonowy potworek z kwiatami. W sekundę po tym zapalił się obok niego napis: W I T A J C I E.

Skręciliśmy w ulicę Świerczewskiego. U jej wylotu, w luce czarnych, kiczowatych chmur, niby efekt trudu producenta makatek z jeleniami — wisiał duży, pomarańczowy księżyc.

Buła zatrzymał się, owinął dno półlitrówki połą płaszcza i uderzył w nie dłonią. Ruch ten powtórzył kilkakrotnie. Robił to metodycznie, z widoczną wprawą. Wreszcie rozległo się owo charakterystyczne cmoknięcie butelki, wywołane przez wdzierające się do jej wnętrza powietrze. Wyskakujący korek natknął się na kciuk Buły.

— No to...

Wziąłem podaną butelkę i przechyliłem ją nad otwartymi szeroko ustami. Strumień wódki bluznął wprost do gardła.

Podałem butelkę Bule. Czułem spływające przełykiem ciepło. Chwytałem łakomie krótkimi, szybkimi haustami wilgotne powietrze, ale prawie nie osłabiło to przykrego smaku, jaki miałem w ustach.

Patrzyłem na wznoszoną kolejno w górę butelkę. Towarzyszące temu bulgotanie i parokrotnie bełkoczącego coś niezrozumiale Chałupki wzbudziło we mnie dreszcz odrazy. Ruszyłem szybko przed siebie. Czułem rozchodzące się po ciele ciepło. Poruszałem nogami bez najmniejszego wysiłku. Robiłem to coraz szybciej, nie czułem wcale zmęczenia. Byłem przekonany, że mnie nie dopędzą, nie potrafią, ale po chwili usłyszałem narastający tupot butów i zrównali się ze mną. Bez słowa skręciliśmy w przecznicę wiodącą do Pałacyku. Moje stopy nabrały naraz ciężaru. W ustach miałem smak suchych, przypalonych trocin. Przełknąłem ślinę i odniosłem wrażenie, że utknął mi w przełyku jakiś uwierający zadzior.

Wyjąłem butelkę z kieszeni Buły, odkorkowałem i napiłem się. Zadzior oderwał się od błony przełyku i opadł w dół. Poczułem się znacznie lepiej. Oddałem Bule butelkę. Patrzyłem jak wyciera jej szyjkę wierzchem dłoni, i jak następnie przytyka ją do warg. Widoczna w świetle wystawy grdyka jego odchylonej szyi poruszyła się kilkakrotnie szybko, spazmatycznie.

„Jutro" — pomyślałem i wypełniła mnie nagle ciepła fala radości — jutro zacznie pisać. Od jutra koniec z piciem i włóczeniem się. Praca.. tylko systematyczna praca. Codziennie najmniej jedna stronica maszynopisu. Za miesiąc będziesz miał trzydzieści stron tekstu, za...".

— Słuchajcie!

Jurcio podniósł do światła pustą butelkę.

— ...od jutra...

— Koniec — powiedział — z tego karabinu już nie strzelimy — zamachnął się i rzucił butelkę na trawnik skweru.

— Mamy jeszcze jeden — powiedział Buła.

— Co od jutra, czekajcie, co od jutra...

„Magdalena..., ona by to zrozumiała... Im, po co im będziesz o tym... Sami zobaczą... już niedługo...".

— Masz na myśli środę czy czwartek, bo już po pierwszej.

— Czekaj — z uporem powtórzył Chałupka — co od jutra?

— Nie wiem, sam jeszcze nie wiem — powiedziałem.

— Jutro będzie futro — zaśmiał się Jurcio.

— A ja wiem! — powiedział skandując Chałupka.

Odchylił się do tyłu, jakby chciał nas wszystkich trzech ogarnąć wzrokiem, potknął się o własną nogę, ale tuż za plecami miał mur.

— Ja wiem — powtórzył wytrzeszczając przekrwione oczy — od jutra nie... nie piję.

— Ty!? — zaśmiał się Buła.

— Ja! — wybuchnął Chałupka dźgając się kciukiem w pierś — ja! ja!

— Przestań krzyczeć — Jurcio chwycił Chałupkę za klapy marynarki — wiesz ile się buli za nocleg w izbie wytrzeźwień?

— Puść mnie — Chałupka odtrącił Jurcia — Odejdź!

Podniósł kołnierz marynarki, wcisnął głowę w ramiona i zamaszystym, lekko chwiejnym krokiem ruszył w kierunku swego domu.

— Co mu się stało...

— Ej!

— Niech idzie — powiedział Hrabia — zostaw. Może sobie przypomniał o Marcie. Ta histeryczka naprawdę mogła odkręcić gaz.

— Jeszcze tego nie było, żeby Chałupka odchodził od pełnej butelki.

— Dobra. Chodźmy. Nie widzę powodu, żeby robić z tego problem.

— Jasne. Jak zechce, to wie, gdzie nas szukać.

— Wróci — ucieszył się Jurcio — zobaczycie. No nie? Chałupka i koniec z wódką... śmieszne.

W milczeniu dobrnęliśmy do końca przecznicy. Przed nami, w białym świetle jarzeniówki, stanął rząd czarnych prętów żelaznego ogrodzenia Pałacyku.

— Wróci na pewno — mruknął Jurcio — ja go znam.

Zasłonięte do połowy okienko wieży mrugało chwiejnym światłem świecy.

— Nie śpi — powiedział Hrabia.

„Czeka" — pomyślałem.

Weszliśmy w ciemny korytarz. Ktoś potknął się o stopień schodów, plasnęła dłonią o ścianę szukająca oparcia ręka. Zachrobotało pudełko z zapałkami, palce Buły zakwitły nikłym płomykiem.

Wdrapaliśmy się na półpiętro. Stąd można już było iść w ciemności, trzymając się poręczy schodów. Szliśmy gęsiego. Staraliśmy się stąpać jak najciszej, ażeby nie ściągnąć na siebie uwagi kogoś z mieszkańców domu. Na drugim piętrze zatrzymaliśmy się. Usłyszałem, jak palce Hrabiego szukają ukrytego w szparze desek sznurka. Szczęknął metal zamknięcia, skrzypnęły zawiasy drzwi.

— Ostrożnie — mruknął Hrabia — po lewej jest dziura w podłodze.

— Zapałki...

Błysnął nikiel cyfrowej kłódki wiszącej u drzwi rekwizytorni „Teatrzyku". Minęliśmy je i weszliśmy na schody wiodące do wieży. Strome, skręcone w podkowę. Hrabia zastukał w umówiony sposób w drzwi wieży. Otworzyły się natychmiast.

— Dobra, właź do łóżka — powiedział Hrabia — nie jestem sam.

— Wiem.

W głosie Krystyny nie znalazłem nawet echa owej tłumionej złości, której eksplozji nie może przecież nie wywołać widok pijanego męża o drugiej w nocy, prowadzącego do domu (jeżeli to, w czym mieszkali Hrabia i Krystyna można nazwać domem) pijanych również jak on kolegów. Nie znalazłem w nim również żalu ani rozpaczy. Jego przejmującą, prawie nieczłowieczą bezbarwność mogło spowodować wyłącznie zmęczenie doprowadzone do stadium, w którym organizm wkracza w otępiałość.

— Już można.

Weszliśmy. Płomyk stojącej na podłodze świecy zachybotał niebezpiecznie. W jego niepewnym świetle wieża wydawała się jeszcze mniejsza niż była w rzeczywistości. Mimo że ją znałem, nie potrafiłem oprzeć się wrażeniu, że nie zmieścimy się w niej wszyscy.

W kącie łóżka otulona w koc siedziała Krystyna. Nie mogłem dostrzec jej twarzy. Prawie całkowicie zakrywał ją mrok. Gdyby nie lśnienie odblasku świecy odbitego w o-

Zbigniew Wawszczak

KSIĄŻKA — PODSTAWĄ DZIAŁANIA

Biblioteki. Temat szeroki i na czasie: można o nich w nieskończoność.

Czym mają być? Jaka powinna być ich rola w środowisku? Czy zadaniem ich jedynie wypożyczanie, praca z książką, czy też muszą zająć się szerzej pojętą działalnością kulturalną? Zagadnienia te niejeden raz dyskutowane są w środowiskach bibliotekarskich, zresztą nie są jedynie przedmiotem teoretycznych rozważań. Oto w kilku powiatach naszego województwa realizowane jest hasło „biblioteka ośrodkiem życia kulturalnego na wsi". Biblioteki starają się (ze zmiennym powodzeniem) wcielać w życie niełatwe zresztą założenia. Wynika z nich, że przy bibliotekach powinny działać rozmaite zespoły amatorskie, teatralne, taneczne itp., bibliotekarz winien inicjować dyskusje nad programem telewizyjnym, nadzorować pracę uniwersytetu powszechnego. Wymagania te, jak się okazuje, rzeczywiście niemałe i trudno się dziwić, że wielu bibliotekarzy nie potrafi im sprostać. Kto ich miał do tego przygotować? Kiedy mieliby wszystkim tym zadaniom podołać? Nie zapominajmy, muszą przecież wypożyczać książki, opracowywać je, muszą mieć jako taką orientację w zawartości księgozbioru. Nawet gdyby chcieli każdą książkę, trafiającą do biblioteki przeczytać i tak nie starczyłoby im czasu...

Nie dziwmy się więc, że w bibliotekach objętych tzw. eksperymentem, bibliotekarze są przeciążeni, że wielu z nich, zniechęconych niskimi płacami i nierzadko obojętnością ze strony miejscowych władz, rezygnuje z pracy...

Zrozumiałe są również dyskusje i rozbieżności stanowisk w poglądach na te ważkie sprawy wśród samych bibliotekarzy. Niemała liczba spośród nich uważa, że biblioteka nie powinna angażować się w dodatkowe, bardzo pracochłonne zajęcia. Ludzie ci są przekonani i trudno chyba nie przyznać im racji — że podstawowym zadaniem każdej biblioteki jest praca z książką. Na tym placówka powinna koncentrować całą swą uwagę, temu muszą być podporządkowane wszystkie jej poczynania. Aby dobrze postawić pracę, aby orientować się na bieżąco w treści książek, aby właściwe książki kierować do właściwych rąk — bibliotekarz musi poświęcić niemało czasu, musi stale śledzić wydawnictwa, czytać recenzje itp. Rzeczniczką podobnych jak przytoczone wyżej poglądów jest kierowniczka biblioteki powiatowej w Łańcucie, mgr Eugenia Czado. Spotkałem się z określeniem, że w Łańcucie stosowane są metody „pracy od podstaw". Biblioteki tamtejsze nie angażują się szerzej w zewnętrzne poczynania kulturalne. Główny nacisk kładzie się tutaj na wewnętrzną pracę bibliotek, na stabilizację i doskonalenie pracowników. Biblioteki łańcuckie charakteryzuje tendencja do ulepszania

struktury wewnętrznej. A więc wzorowy ład w każdej placówce, ład w księgozbiorze, w lokalu. Nie toleruje się tu żadnych zaniedbań, niedokładności, braków w dokumentacji, dba się o zewnętrzny wygląd książek. Oczywiście droga do ideału nie jest prosta ani łatwa: w Łańcucie słusznie chyba rozumują, że podnoszenie kwalifikacji pracowników daje najlepsze wyniki wtedy, kiedy ludzie nie zmieniają się co roku. Stąd też odejście jednego chociażby pracownika traktowane jest przez kierowniczkę biblioteki powiatowej z głęboką troską.

Pani Czado kieruje biblioteką powiatową od chwili jej powstania przed dwudziestu laty. Jest związana ze swą placówką na dobre i złe, poświęciła jej tyle lat, w trakcie pracy ukończyła studia bibliotekarskie. Potrafi walczyć o interesy placówki, nie zważając na trudności. Właśnie obecnie od dłuższego czasu zaangażowana jest w dosyć zaciekłą batalię. Chodzi o jedną z gromadzkich bibliotek, której prowadzenie objął pewien działacz młodzieżowy z tzw. powiatowego szczebla. W fakcie tym nie byłoby niczego złego, gdyby człowiek ów nie położył w ciągu dwu lat działalności owej biblioteki na przysłowiowe łopatki.

Liczba czytelników spadła wręcz w zastraszającym tempie. Jednakże „stanowczy" młody człowiek widocznie nic sobie z tego nie robi i mimo żądań mgr Czado kierowanych pod adresem odpowiednich władz, nie zamierza zrezygnować z biblioteki. Nie wiem, czy rzeczywiście nie ma w Łańcucie siły, która potrafiłaby usunąć kłodę z drogi biblioteki gromadzkiej w Krzemienicy? Może zrobi to Zarząd Wojewódzki ZMW w Rzeszowie, któremu sprawy rozwoju czytelnictwa na wsi nie są obce, a któremu podlega ów — może zresztą poza biblioteką — niezły działacz?

Wspominam o tym epizodzie także dlatego, aby pokazać, że kierownikowi biblioteki powiatowej nie brak tzw. cywilnej odwagi i potrafi się w imię słusznej sprawy przeciwstawić autorytetom.

Dyrektor biblioteki wojewódzkiej opowiadał mi, że już kilkakrotnie zwracał uwagę komu trzeba na taki drobny fakt, otóż w uznaniu wyników pracy Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało Eugenii Czado tytuł kustosza. Zwykle za tytułem powinna pójść jakaś podwyżka poborów. Mimo że upłynęły już dwa lata, nic nie wskazuje na to aby kiedyś miało dojść do tej podwyżki.

A wracając do naszkicowanej na wstępie dyskusji czym powinna zajmować się biblioteka, sądzę, że nie należy zajmować krańcowych stanowisk. Im szerzej biblioteka włączy się do prac kulturalno-oświatowych w swym środowisku — tym większy pożytek dla sprawy. Ale stanowczo protestowałbym przeciwko sytuacji, gdy biblioteka czyniłaby to kosztem swej zasadniczej funkcji, pośrednika pomiędzy czytelnikiem a książką. Trzeba tutaj powtórzyć zdobywającą sobie coraz powszechniejsze uznanie prawdę, że mimo imponującego rozwoju środków masowego przekazu jak radio, telewizja, prasa — książka nic nie straciła na znaczeniu i pozostaje nadal głównym i niezastąpionym instrumentem kulturalnego oddziaływania. Jeżeli bibliotekarz potrafi nieźle uporać się ze swymi właściwymi zadaniami — nic nie stoi na przeszkodzie, aby podejmował inne prace. Ale nigdy kosztem książki. I tak patrzy się na te sprawy również w Łańcucie. Myślę, że stanowisko takie jest wyrazem rozsądku i rzeczywistej znajomości sytuacji czytelnictwa na wsi. Mniej tutaj pasjonują się rozmaitymi akcjami, mniej gonią za nowinkami za wszelką cenę, bardziej opowiadają się za żmudną, mało efektowną, ale systematyczną pracą, która przynosi konkretne wyniki w postaci wzrostu czytelnictwa. Ów rzetelny, przemyślany stosunek do pracy należałoby polecić innym jako przykład godny naśladowania...

GDAŃSKA WIOSNA

(Ciąg dalszy ze str. 2)

Wystawa w „Żurawiu" zawiera znacznie więcej materiału źródłowego i znacznie więcej refleksji nasuwa się podczas jej zwiedzania. W telegraficznym skrócie wspomnę jeszcze o kilku eksponatach. Pięknie prezentuje się wnętrze kantoru kupieckiego z dawnymi słynnymi ze swej jakości i kształtów meblami gdańskimi. Historyka zaciekawią akta dające szlachcie prawa spławu na Wiśle, miary (korzec, łańcuch mierniczy do drzewa), mapy i obrazy.

Są i ciekawostki, na przykład furta działowa typu holenderskiego z imitacją działa, instrumenty ludowe używane przez wiślanych żeglarzy, naczynia na wodę i wiele jeszcze innych.

Dla nas, mieszkańców południa wystawa ma szczególne znaczenie, na „mapie powiązań" Gdańska z krajem, bowiem obszary południowe kraju są bardzo licznie reprezentowane.

RYSZARD BILSKI

(zdjęcie autora)

1) Stanisław Potocki: Niektóre aspekty Pomorza Gdańskiego w rewizjoniźmie zachodnioniemieckim. Komunikaty Instytutu Bałtyckiego, Gdańsk, kwiecień 1966. r.
2) Tamże

czach Krystyny, można by sądzić, że w ogóle jej nie ma.

— Dobry wieczór, Krystyna.

— Dobry wieczór... siadajcie.

— Zbudziliśmy cię...

— Nie spałam.

— Napijesz się wódki?

— Dziękuję. Muszę na siódmą wstać do pracy.

— My zaraz pójdziemy...

— Śpij Krystyna — powiedział Hrabia — spróbuj usnąć, bo jutro znowu będę cię musiał wykopywać z łóżka.

— To już za niecałe cztery godziny...

— To dlaczego nie śpisz? Już od dawna mogłaś spać.

—

— No dobra, śpij już, śpij.

„Dlaczego ona to robi, co każe jej mieszkać tu, bez światła elektrycznego, bez wody... z daleka od syna, którego widuje najwyżej raz na pół roku... Co jej każe czekać co noc, na tego człowieka nazywającego siebie pisarzem... czasem do rana czekać, a potem iść, bez śniadania zawsze, do pracy... często bez zjedzenia obiadu... co, jaka siła... wiara...".

Usiadłem na brzegu łóżka, obok mnie Jurcio-pijaczek. Buia przysiadł na parapecie okienka.

Tuż nad głową miałem oparte o krawędzie murów drzwi, które pełniły tu rolę półki, albo posłania.

— W porządku — powiedział Hrabia. Ustawił kieliszki na przykrytej płakatem skrzynce i wyciągnął rękę po butelkę.

— Śpij Krystyna, śpij — powiedział napełniając kieliszki — śpij — powtórzył raz jeszcze bezmyślnie, jak się powtarza słowa uprzykrzonej, pętającej się za człowiekiem piosenki.

Przytknąłem do warg kieliszek.

— Niezła — mruknął Jurcio.

— Jeszcze go raz. Nie ma się co nad nią modlić.

Hrabia napełnił ponownie kieliszki. Wypiliśmy.

Odnosiłem wrażenie, że przełykam wodę, która dopiero w żołądku przemienia się w pulsujące ciepło. Czułem, jak jego obezwładniające fale rozchodzą się coraz szerszymi kręgami po moim ciele. Jak je unoszą. Przymknąłem powieki i oparłem się plecami o ścianę. Wydało mi się, że pochłania mnie jakaś ogromna dolina wypełniona miękkim puchem ciepłego śniegu czy ptasich piór i zapragnąłem, ażeby w ogóle nie miała dna.

— Nie śpij — powiedział Jurcio — bo cię okradną z pomysłów do twojej przyszłej genialnej powieści.

Poczułem tuż przy swojej twarzy jego cuchnący dymem oddech. Odrzuciłem w tył głowę. Jej nagły ból prawie mnie otrzeźwił. Ujrzałem pochylające się nade mną twarze Jurcia i Hrabiego, ostre, wyraziste w każdym rysie, jak gdyby je ktoś na mgnienie oka oczyścił z patyny mroku. Ujrzałem swoją twarz w lśniącym, przybliżającym się szkle kieliszka, i nagle domyśliłem do końca ową rozpoczętą w dworcowej toalecie myśl, pojąłem, że gonię ciągle za towarzystwem innych, ażeby ze swych oczu, z pierwszego planu tej nie chcącej się zatrzymać karuzeli odsunąć samego siebie. Poczułem jak coś podpływa mi do gardła, paraliżuje przełyk, i ujrzałem uskakujących śmiesznie na boki Jurcia i Hrabiego.

BOGDAN LOEBL

Fragment powieści „KATARAKTA".

Rys. J. SIENKIEWICZ

Jan Bolesław Ożóg

Himmamukasijomogi

Himmamukasijomogi,
Himmamukasijomogi,

Dokąd tylko mnie po świecie
noszą jeszcze krzywe nogi,
goni, goni mnie i straszy
jedno to japońskie słowo:
Himmamukasijomogi.

Himmamukasijomogi,
Himmamukasijomogi.

Uniesiona górą bomby
w czerwone huby śreżogi
z wysokości atmosfery
spada nocą mi na piersi
Himmamukasijomogi.

Himmamukasijomogi,
Himmamukasijomogi,

Na kość zdmuchniętą wybuchem,
na spalone w proch barłogi
kładzie się porostem śmierci
Himmamukasijomogi.

Himmamukasijomogi,
Himmamukasijomogi.

Sto milionów razy na dzień
na mym dachu w chmurze trwogi
szczecią mi zieloną rośnie
z wypalonej Hiroszimy
Himmamukasijomogi.

Antoni Kunysz

O MODZIE I UBIORACH Z EPOKI RZEPICHY I PIASTA KOŁODZIEJA

Rozpatrując rozwój ubioru jako elementu kultury materialnej ludności zamieszkującej ziemie polskie przed tysiącem lat, natrafiamy na poważne trudności. Przekazy pisane dotyczące tego zagadnienia, są prawie znikome. Od XII wieku cennym źródłem w poznaniu tego problemu są materiały ikonograficzne. Dla ziem polskich zasadniczym źródłem ikonograficznym do badań nad ubiorami polskimi i słowiańskimi tego okresu są płaskorzeźby na drzwiach katedry w Gnieźnie, wykonane w I połowie XII wieku. Poza tym cenne materiały uzyskujemy z wizerunków na starych pieczęciach, rzeźbach grobowców itp.

Jak wyglądała moda naszych prababek i prapradziadków? Na pytanie czy legendarna Rzepicha była kobietą elegancką? Jakiej modzie hołdowały panny Piastówny? odpowiedzieć możemy w dość pełny sposób, dzięki badaniom archeologicznym na terenach cmentarzysk czy w obrębie grodów i osad.

Ubiór naszych prababek składał się z koszuli suto marszczonej przy szyi, wszytej w niski kołnierzyk. Poza tym noszona była spódnica prawdopodobnie marszczona. Znane były też suknie o długich, luźnych tzw. „popich" rękawach, obszytych u dołu krajką. Nie fason sukni stanowił wówczas cechę wyróżniającą, lecz materiał i ozdoby. Tak właśnie ubrana jest córka Bolesława Chrobrego, Regelinda znana z rzeźby w katedrze w Naumburgu, zwana popularnie jako „śmiejąca się Polka".

Na chłodniejsze dni używano tunik wierzchnich. Poważną rolę odgrywały pasiaki, z których wykonywano okrycia wełniane. Wełna była barwiona na zielono, żółto, niebiesko, fioletowo, czerwono i czarno. Na okres zimy noszono odzież z futer. Badania na terenie Opola, Gdańska czy innych miejscowości, przyniosły ciekawe stwierdzenia świadczące o znajomości jedwabiu. Piękne było obuwie wykonywane z wyprawionych skór, wycinane w ażury, często haftowane nićmi lnianymi (obuwie bogato zdobione z Opola z X—XI wieku wg Włodzimierza Hołubowicza).

Wykopaliska archeologiczne dowodzą, że wielką rolę przykładano do przyozdobienia głowy. Znaleziska wielu ozdób tzw. kabłączków skroniowych (ze srebra, a nierzadko i ze złota) świadczą, że ówczesne kobiety nosiły przepaski na głowie, na których umocowywano ozdoby. Znany jest z ziem polskich z terenu Pomorza (miejscowość Uniradz, pow. Kartuzy) przypadek stwierdzenia przy szkielecie młodej kobiety przepaski z naszytymi ozdobami i warkoczem włosów (strój głowy Pomorzanki wczesnośredniowiecznej wg J. Delekty). Z terenu woj. rzeszowskiego przy grobie kobiecym na cmentarzysku w Trześni, pow. Tarnobrzeg, mgr J. Janowski odkrył przed kilku laty kabłączki skroniowe, świadczące, że podobne ozdoby nosiły mieszkanki naszych ziem przed około 1000 lat. Z biżuterii wczesnopiastowskiej doby, noszonej przez kobiety, należy wymienić: zausznice, kolie z różnych paciorków (szklane, bursztynowe, z kamieni półszlachetnych, żelaza, a nawet gliny). Bransolety, pierścionki z blachy brązowej i srebrnej oraz różnego rodzaju klamry. Ziemia rzeszowska dostarczyła szereg tego typu znalezisk. Szczególnie pokaźna ilość tego typu zabytków znana jest z Przemyśla.

Jeżeli chodzi o strój męski, to jedną z bardzo charakterystycznych jego cech w okresie występowania na widownię historyczną Polan stanowiły spodnie zwane pierwotnie (od gacenia — osłaniania ciała) gaciami. Spodnie noszono na pasku zapinanym za pomocą sprzączki. O kroju spodni tego wczesnego okresu niewiele możemy powiedzieć. Z innych elementów stroju należy wymienić koszulę znaną u plemion prapolskich pod nazwą gzło (giezło). Na wierzch ubierano suknię (późniejsze sukmany) zwaną siermięgą. Zimową porą noszono kożuchy.

Strój głowy Pomorzanki wczesnośredniowiecznej wg J. Delekty.

Męskim okryciem głowy były latem kapelusze wykonane z pilśni lub plecione ze słomy, jakie przedstawiono nam między innymi na drzwiach gnieźnieńskich z początkiem XII wieku. Zimą nosili mężczyźni czapki sukienne i futrzane, o ich kształcie nie możemy nic powiedzieć.

Trzeba tutaj stwierdzić, że w Polsce wczesnopiastowskiej w stroju uwidaczniają się różnice społeczne ówczesnej ludności. Inne stroje bogatsze, pełne przepychu nosić musieli książęta, feudałowie, a inne ludność wiejska — chłopstwo, rzemieślnicy, kupcy itp. Uzależnione było to w znacznym stopniu od bogactw, jakimi dysponowały poszczególne klasy ludności. Z wykopalisk wiemy, że mężczyźni obuwie nosili dwojakiego rodzaju: trzewiki oraz buty „wysokie", znane między innymi z cmentarza odkrytego na zamku w Przemyślu, a datowanego na XII—XIII wiek.

Znaleziska archeologiczne i materiały ikonograficzne potwierdzają, że i pod tym względem mieszkańcy ziem naszych przed tysiącem lat nie byli zacofani. W modzie uwidaczniają się wpływy bizantyjskie i częściowo ruskie, które przedostały się na nasze ziemie za pośrednictwem kupców.

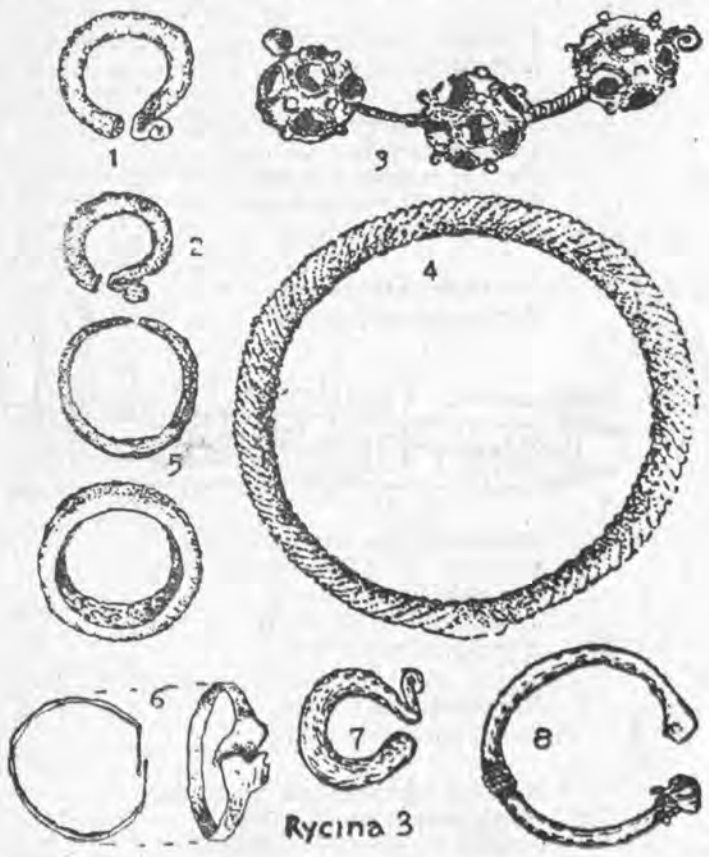

Ozdoby kobiece z X — XIII wieku z terenu woj. rzeszowskiego: 1—2. Kabłączki skroniowe z Trześni pow. Tarnobrzeg, 3. fragm. srebrnego wisiorka z Przemyśla, 5. Pierścionki z Trześni, 6. pierścionek z Niska, 4. Bransoleta szklana z Przemyśla, 7—8. Kabłączki skroniowe z Przemyśla (wg A. Kunysza).

„PRASKA WIOSNA 66"

12 maja rozpoczął się Międzynarodowy Festiwal Muzyczny „Praska Wiosna 66". W czasie trwania Festiwalu, który zakończy się 4 czerwca, odbędzie się ponad 70 koncertów i przedstawień operowych.

W tegorocznej „Praskiej Wiośnie" weźmie udział wielu wybitnych solistów i zespołów. Wystąpią m. in. Artur Rubinstein, Henryk Szeryng, Isaak Stern, Światosław Richter, Dawid Ojstrach, Nikita Magaloff, jak również berlińscy filharmonicy pod dyrekcją Herberta von Karajana. Największym wydarzeniem Festiwalu staną się niewątpliwie gościnne występy Dariusza Milhauda w charakterze dyrygenta. Poprowadzi on światowe prawykonanie swego utworu „Muzyka dla Pragi".

Nieznany fragment utworu Rittnera

Tadeusz Rittner pisał utwory swoje zarówno w języku polskim, jak i niemieckim. Spuścizna literacka Rittnera jest wciąż jeszcze rozproszona i nie opublikowana, a o kilku jego sztukach zapomnieli całkowicie wydawcy, krytycy i dyrektorzy teatrów. Jedną z takich zapomnianych sztuk jest „Tragedia Eumenesa", wystawiona jako ostatnia za życia autora w 1919 r. w wiedeńskim Burgteatrze i przetłumaczona na polski przez Leona Koppensa. Polska prapremiera odbyła się w Krakowie w październiku 1920 r. W tym samym sezonie wystawił „Tragedię Eumenesa" jeden z teatrów nowojorskich. Jedyny polski egzemplarz „Tragedii" znajduje się dziś w zbiorach „Ossolineum".

Obecnie teatrolog Stanisław Kaszyński w poszukiwaniu nieznanych rittnerianów odnalazł na terenie Wiednia w „Zeszytach Burgteatru" („Blaetter des Burgtheaters") wśród starych programów tekst epilogu do „Tragedii Eumenesa", napisany przez Rittnera po niemiecku już po ukończeniu sztuki. Epilog ten przypuszczalnie nie był przewidziany w pierwotnym planie i nosi tytuł „Wieczór estetyczny. Mała scena, czyli epilog do tragedii Eumenesa".

Ta nie znana dotąd część sztuki autora „Głupiego Jakuba" została umieszczona w przekładzie polskim S. Kaszyńskiego na łamach ostatniego numeru (poświęconego filologii) „Zeszytów Naukowych Uniwersytetu Łódzkiego".

◆ Korespondencje ◆ Polemiki ◆

Adolf Jakubowicz

O „SZKICU" RAZ

„Widnokrąg" z dnia 24 kwietnia br. przyniósł między innymi recenzję red. Marii Cecylii Guziołek zatytułowaną „Trzy filmy o Zamku-Muzeum".

Autorka przypomina niedawną uroczystą premierę filmu Bohdana Kosińskiego „Zamek w Łańcucie — filmowy szkic historyczny", jaka odbyła się w Rzeszowie z udziałem twórcy tego filmu. W czasie premiery wyświetlono również dwa wcześniejsze filmy o Łańcucie: „Pamiętnik jego wysokości" tego samego autora i kolorowy film Tadeusza Jaworskiego i Mariana Brandysa „Zamek w Łańcucie".

Streszczając najogólniej wywody autorki, pozytywną ocenę uzyskały u niej dwa ostatnie filmy, podczas gdy „Zamek w Łańcucie — filmowy szkic historyczny" nie wnosi w zasadzie nic nowego, twórczego.

Ponieważ Maria Cecylia Guziołek, oceniając filmowy szkic o Łańcucie, nie ogranicza się tylko do oceny tego co w filmie jest, ale również wysuwa pretensje czego w nim nie ma, jako jeden z uczestników premiery ostatniego filmu Kosińskiego, pozwalam sobie przypomnieć pewne szczegóły.

A więc wbrew stwierdzeniom autorki recenzji co w filmie j e s t? W filmie powiedziano sporo nie tylko o wywiezieniu dzieł sztuki przez ostatniego ordynata Łańcuta, ale również jakimi drogami starano się w okresie ostatnich dwudziestu lat uzupełnić łańcuckie zbiory, z jakich pochodzą one źródeł, jakim zdobyte kosztem.

Gdyby autorka poświęciła nieco uwagi filmowi jako całości, a nie poszczególnym jego fragmentom, nie stawiałaby zarzutu, że „film nie wyjaśnia r z e c z y z a s a d n i c z e j" (podkr. J. A.).

Rzeczą zasadniczą w filmie B. Kosińskiego nie są jedynie sprawy wiążące się z dziełami sztuki, choć oczywiście, zajmują one tu miejsce dość ważne, ale problemy daleko szersze, dla których właśnie film został nakręcony. Filmowy szkic historyczny o Łańcucie jest filmem, który będzie wyświetlany p r z e d zwiedzeniem Zamku w Łańcucie. Jest filmem o określonej funkcji i założeniach. Zadaniem filmu jest nie tyle pokazanie poszczególnych wnętrz, eksponatów, zabytków, które widz i tak za chwilę zobaczy, lecz krótka prezentacja rodowodu historycznego i społecznego obiektu. Zwiedzaniu tej ogromnej magnackiej rezydencji towarzyszy, nawet teraz, po dwudziestu dwu latach istnienia muzeum, bardzo specyficzna atmosfera. Przeciętny widz przesuwający się w tłumie przez sale Zamku nie zawsze potrafi, nie zawsze zresztą chce, w sposób krytyczny spojrzeć na źródło śladów dawnego przepychu, nie wszystko zdąży mu powiedzieć przewodnik.

Film B. Kosińskiego podjął się ambitnego zadania, by o tej drugiej stronie medalu, fortuny Lubomirskich i Potockich powiedzieć mu krótko, zwięźle, w sposób prosty — łatwy w odbiorze, a równocześnie przekonywający. Ma do tego dwadzieścia minut czasu, by pokazać historię magnackiej rezydencji od XVII wieku, nakreślić sylwetki ludzi będących jej właścicielami, pokazać najnowsze wojenne i powojenne losy łańcuckiego Zamku.

Propozycje zawarte w końcowej części artykułu oparte są chyba na nieporozumieniu.

Znakomity film T. Jaworskiego i Mariana Brandysa jest filmem o zupełnie innym przeznaczeniu niż najnowszy film B. Kosińskiego. T. Jaworski realizował swój film dla widza, który być może w Łańcucie jeszcze nie był, a który zachęcony filmem tu przyjedzie. Kosiński mówi z ekranu do widza, który w Łańcucie już jest, który za dwadzieścia minut rozpocznie zwiedzanie muzeum.

Jest zasadnicza różnica, która określa również charakter obu filmów.

Są w filmowym szkicu o Łańcucie fragmenty filmu tego samego autora, opartym na pamiętniku Alfreda Potockiego, wydanym na Zachodzie. Nabierają one tu nowego wyrazu. Być może zadecydował o tym kontrast między idyllicznymi scenami polowań ostatniego ordynata utrwalonych w amatorskim filmie a nieostrymi scenami dokumentarnej kroniki filmowej, przedstawiającej historyczny moment zawieszania godła narodowego na murach Zamku, przejętego na muzeum, podziału obszarniczej ziemi, grobów poległych w tym czasie ludzi. Aby w filmie krótkim mówić o sprawach i ludziach tak odległych, jak księżna marszałkowa Lubomirska i powojenna odbudowa łańcuckiego Zamku, kosztownych wyprawach myśliwskich ordynata i strajkach buraczanych, wizytach hitlerowskich dostojników w łańcuckim zamku i konserwacji najcenniejszych obiektów, trzeba mówić językiem dużego skrótu.

Wbrew temu co twierdzi Maria Cecylia Guziołek nie jest to w moim przekonaniu język „naiwny". Lapidarność komentarza, łączność artystycznych i ideowych elementów filmu są dla mnie, jednorazowego widza, najcenniejszą jego zaletą. Są to jednak moje osobiste odczucia, których nie staram się bynajmniej nikomu

Fot. M. KOPEĆ

dyskusje ◆ korespondencje ◆ polemiki ◆ dyskusje ◆

JESZCZE

narzucać, gdyż rezultat pierwszego wrażenia, nie musi być przecież trafny.

Brak precyzji w stawianiu zarzutów i stwarzaniu pozycji „obronnej" w duchu: „... zamek łańcucki nie jest muzeum ku czci rodu Potockich" i nas nie interesuje, „jaką łyżką jadał hrabia Alfred" stwarza wrażenie, jakoby dziennikarz znał ludzi, którzy poglądy te reprezentują.

W recenzji Marii Cecylii Guziołek jest wiele sformułowań, mających charakter uogólnień. Zarzucając Kosińskiemu, że „nie ratuje go i nie może ratować słówko „szkic" pisze ona dalej:

„Na podstawie szkiców może powstać ciekawa praca lub dzieło sztuki, lecz bezsensowne jest tworzenie ich, gdy dysponuje się już dziełami".

Jest to stwierdzenie ogromnie oryginalne i przyznam się, że cała moja wiedza z zakresu estetyki została poważnie podważona... Gdzie zakwalifikować genialne szkice, które nigdy poza to studium nie wyszły?...

ADOLF JAKUBOWICZ

Artykuł polemiczny A. Jakubowicza drukujemy ze skrótami.

Red.

DE GUSTIBUS...

Porzekadło ludowe twierdzi, że urodzeni w niedzielę — a do takich należę — są dziećmi słońca i poczucia humoru nie można im odmówić. Po zapoznaniu się z wywodami red. Adolfa Jakubowicza westchnęłam tylko. Doczekałam się bowiem „reprymendy" za recenzję, której nigdy nie pisałam.

Wspomniany materiał był tylko informacją o uroczystej premierze krótkometrażówki reżysera B. Kosińskiego z kilkoma uwagami krytycznymi, które nasuwa ów film na tle dwóch wcześniejszych, powszechnie znanych, gdyż były wyświetlane jako dodatki w ogólnie dostępnych kinach, telewizji i klubach dyskusyjnych.

Uważam, że w tej sytuacji oceny nowego filmu nie można dokonywać w oderwaniu od istniejących już prac, tym bardziej że reżyser jest współtwórcą jednego z nich.

„Recenzja" i „uwagi na marginesie" to w moim pojęciu nie to samo. A „podoba się", „nie podoba" itd., to sfera osobistych odczuć i... wymagań. Mawiali mądrzy (chyba mądrzy!?) starożytni Rzymianie: De gustibus non est disputandum!

MARIA CECYLIA GUZIOŁEK

Spór o domy przysłupowe

Otrzymaliśmy pismo od Stefana Lwa, który — powołując się na obszerną literaturę naukową m. in. swój artykuł pt. „Dom przysłupowy w górnym i środkowym dorzeczu Sanu" („Lud" t. 50, Wrocław 1966) — polemizuje z wywodami Franciszka Kotuli („Interesowali się nie tylko domami przysłupowymi" „Widnokrąg" nr 16).

Z uwagi na charakter naszego pisma, nie możemy kontynuować tej polemiki, która dotyczy niewątpliwie zagadnień ważnych, lecz interesujących wąskie grono specjalistów.

Redakcja

POLSKIE PARODIE DZIENNIKARSKIE SPRZED 200 LAT

Pierwsza polska satyra-parodia dziennikarska? Natrafi na nią cierpliwy szperacz, wertujący pożółkłe karty roczników „Monitora" (1765—1784) Franciszka Bohomolca i Ignacego Krasickiego, w numerze 56 za rok 1767, tj. sprzed dwustu prawie lat. Jest to najwcześniejsze na łamach prasy polskiej sparodiowanie kalendarzy i zwyczajów wróżenia z gwiazd. Parodia z „Monitora" brzmi:

„Może to być, iż niektórzy z moich czytelników, mniej dbając o te obserwacje, nie zaopatrzyli się w księgi tak pożyteczne rodzajowi ludzkiemu. Chcąc tedy ich pomyślność widzieć, mniemam, że niemałą uczynię przysługę, gdy z starego kalendarza pomienione obserwacje słowo w słowo jak najwierniej opisane tu przedłożę. Czwartek — dzień Marsa — i przeciwny. Z żołnierzem nie zasiadaj, rusznicą, kordelasem nie igraj, ugodę i podróż na inny czas odłóż, nikomu się nie sprzeciwiaj, białegłowy daleko mijaj. Miesiąc w głowie smoczej. Do lekarza roli sprawowania, po wodzie pływania, jednym słowem do wszelkich spraw czas znamienity".

Jeszcze wcześniejszego pochodzenia jest natomiast parodia, inspirowana formami dziennikarskimi i naśladująca doniesienia księgarskie, swego rodzaju reklamy nowych książek. Doniesienia takie ukazywały się wówczas, nim jeszcze założony został w Polsce „Monitor" na łamach pism francuskich i niemieckich. W zbiorze rękopisów bibl. im. Raczyńskich znajduje się sparodiowana wersja katalogu księgarskiego, pełna aktualnych wtedy aluzji politycznych. Jest to „pro in anno 1741 titulo cathalogus kupna ksiąg na teraźniejszym jarmarku we Frankforcie". Każda pozycja katalogu została odpowiednio dedykowana zgodnie z tytułem. Na przykład: „Prawdziwe wyobrażenie dobrego chrześcijanina" — królowi polskiemu Augustowi trzeciemu Sasowi, „L'ami importum" (dokuczliwy przyjaciel) — królowi pruskiemu, „Dziecko sparzone boi się ognia" — królowi Stanisławowi Leszczyńskiemu, „Nikogo przyjaciel, nikogo nieprzyjaciel, neutralitas" — papieżowi, „Księga jeremiaszowych lamentacji" — Śląskowi, „Praktyka cierpliwości" — stanowi miejskiemu i chłopskiemu.

Przykłady pierwszych polskich satyr dziennikarskich podaje Wojciech Podgórski w ostatnim numerze „Przeglądu humanistycznego.

Spotkania teatrów lalek

W dniach 15—22 bm., z okazji „Dni Bielska — Białej", odbędzie się w tym mieście I Ogólnopolskie Spotkanie teatrów lalek. W imprezie wezmą udział czołowe sceny lalkowe z Warszawy, Krakowa, Łodzi, Opola, Katowic, Będzina i Bielska. W spotkaniu uczestniczyć będzie również zespół Teatru Lalki i Aktora z Ostrawy (CSRS). Odbędzie się ogółem ponad 30 przedstawień zarówno w Bielsku — Białej, jak i w innych miastach woj. katowickiego. Tak więc impreza ta stanie się przeglądem aktualnego dorobku aktorskiego czołowych scen lalkowych kraju.

Odbędzie się też wiele spotkań połączonych z odczytami i prelekcjami, m. in. na temat współczesnej literatury i dramatu dla młodzieży. Znany poeta i fraszkopisarz, a jednocześnie wybitny teoretyk teatru lalkowego Jan I. Sztaudynger wygłosi prelekcje pt. „Trochę o lalkach".

Zastanawiam się coraz częściej, jak to się dzieje, że wszyscy narzekają na marność telewizyjnych programów, na nieatrakcyjny melanż rzeczy przypadkowych i spartaczonych, jednak patrzą w ekran i w końcu coś tam wyławiają dla siebie interesującego. Myślę, że na tym polega wartość telewizji, iż podsuwając propozycje programowe, zostawia wolność wyboru, tak dalece posuniętą, jak wyłączenie odbiornika. Nie wiem tylko, czy zbyt często nie przekręcamy gałki i czy telewizji wolno się bawić z nami w nerwową grę, w takie swoiste „warto — nie warto", opłacone naszymi pieniędzmi. Może to niespecjalnie wina tylko minionego tygodnia, w którym najbardziej rozdrażnił mnie brak poniedziałkowego teatru, bo szykowałam się na to „Pożegnanie z Marią" Borowskiego przez całe 7 dni i w wielkim niepokoju czekałam na dramatyczny kształt tej pięknej prozy czasów grozy i przerażenia. Może to także nie wina tej lawiny filmów w niedzielę oraz dwóch widowisk teatralnych („Śpiewki stare, ale jare" z Łodzi, „Żołnierze" Brylla), z których ostatnie uratowało mnie tylko dlatego, że było powtórzeniem i mogłam je sobie darować. Ale przebóg, dlaczego nasze oczy mają ponosić konsekwencje bezmyślnego planowania programu przez telewizję? Dlaczego nasze dzieci mają blednąć z braku powietrza w niedzielne ranki, przyklejone do telewizora, niedospane i nerwowo obgryzające paznokcie z winy teksaskich rycerzy? Dlaczego nie ma w niedziele programów robionych przez telewizyjnych twórców z myślą o świecie, programów oryginalnych, najlepszych?

Dlaczego redakcja publicystyki nie daje w ten dzień nic poza „Ludźmi i zdarzeniami", tracąc wypoczętą uwagę na starocie i powtórzenia? Źle się dzieje z każdą sztuką i z każdą publikacją, jeśli lekceważą odbiorcę i zapominają o roli służebnej wobec niego, która, nie tylko że leży u podstaw ich istnienia, ale jeszcze determinuje ich wartość.

Pewnie, że daleko nam do tej sprawności precyzyjnej, jaką przejawia np. telewizja monachijska, która rozsyła w godzinę po nadaniu programu swoich przedstawicieli „w lud" i ci wędrując po prywatnych mieszkaniach przeprowadzają najbardziej autentyczny i szybki sondaż opinii o danym widowisku; daleko nam i być może nie stać nas na taki rodzaj ankiet. Ale co się dzieje w Instytucie do Badania Opinii Telewidzów, który od kilku lat już działa jako samodzielna placówka przy PAN? Po co rozpisuje swoje ankietki, po co je opracowuje wreszcie, jeśli propozycje „z ludu" pozostają tylko na papierze, a zestaw programów całodziennych montuje ktoś nieodpowiedzialny na zasadzie bezsensu?

Zmęczyło mnie utyskiwanie, jakie słyszę wokół na ten temat, zmęczyły stare filmy — zapchajdziury, zmęczyła uroda Barbary Stanwyck, Jane Rusel, Greer Garson nawet, kiedy seryjnie pokazują nam uśmiechnięte twarze z lat czterdziestych i szaloną, dozgonną miłość żywcem przeniesioną z przedwojennych romansideł. Wtedy zaczynam powątpiewać nawet w prymitywizm „Kapitana Sowy", bo choć staroświeckimi metodami, to jednak mówił o współczesnych...

A propos serialu — dano nam nowy — „Czterej pancerni i pies". Z opiniami wypada zaczekać; zbyt świeże to jeszcze i zaledwie zawiązujące intrygę. Z czystym sumieniem mogę to tylko o nim napisać, że memu synowi i jeszcze jednemu panu podobał się pies, znajomej pani — futrzana czapa najmłodszego z pancernych, wszystkim zaś — bardzo filmowe drapieżniki. Natomiast mnie osobiście ucieszył aktor. Pojawił się bowiem Franciszek Pieczka — chluba krakowskich teatrów, ze swoim charakterystycznym głosem; sypnął „pieronami" śląskiego górnika i stworzył od razu bohatera pełnego indywidualności, któremu można zaufać w ciemno i prorokować, że będzie ozdobą „Czterech pancernych". Zwróćcie uwagę na tę niepiękną twarz i tykowatą postać, bo dysponuje aktorstwem bardzo szczególnym i nie nazbyt często udziela się telewizji.

Zwróćcie też uwagę, że ponure do tej pory 15 minut w niedzielę, przeznaczone na recital piosenkarski, błysnęło w ostatnim tygodniu nie tylko wdziękiem konferansjera Władysława Cebulskiego, ale przede wszystkim świetnym parodystycznym piosenkarstwem Władysława Szajewskiego. Historia tanga w jego wykonaniu, to nie był przypadkowy zlepek melodyjek, ale niemalże krótki spektakl teatru jednego aktora, opracowany w najdrobniejszych szczegółach i tworzący zamkniętą całość. Tak właśnie wyobrażam sobie te recitale, jeśli nie mają być powielaniem radiowych audycji o piosence z dodatkiem tylko wizji i niemrawych konferansjerów.

Na tym pewnie poprzestanę, bo znowu cisną mi się pod pióro krytyczne uwagi, a tych już chyba na dzisiaj dosyć. Nie samym jednak uśmiechem i nie na samych przyjemnościach czas nam upływa, co powiedziawszy, pozostaje mi już się tylko podpisać

Krystyna

Ze świata

Umarłe cywilizacje dawnego Peru

Wzrasta w świecie zainteresowanie dawną kulturą Peru, gdzie w okresie między IV stuleciem p. n. e. a X stuleciem n. e. powstała jedna z największych starożytnych cywilizacji amerykańskich. Ostatnio amerykański badacz Gene S. Savoya odkrył w dżungli na wschodnich stokach Andów (w pobliżu miejscowości Pataz) ruiny starożytnego miasta. Na obszarze zajmującym 12 mil kw. zostały ślady świetnych dróg, schodów i tarasowych świątyń, świadczących o kwitnącej tu niegdyś cywilizacji. Według opinii odkrywcy, miasto zostało zbudowane prawdopodobnie przez szczep Chapoyas, który ukrył się w d ungli po klęsce zadanej przez Inków w XV wieku. Archeolodzy są zdania, że ostatnie odkrycie jest większe od odkrycia z 1911 r., kiedy to natknięto się na ruiny Machu Picchu.

Uczeni gromadzą coraz więcej dowodów, świadczących o tym, że 15 wieków przed powstaniem cesarstwa Inków na wybrzeżu peruwiańskim rozkwitła wielka cywilizacja. Łagodny klimat, dostatek wód spływających ze zboczy Andów, obfitość ryb wzdłuż całego wybrzeża oraz olbrzymie pokłady guana były podstawą rozwoju wielkiej cywilizacji jeszcze 2 tys. lat przed podbojem tych ziem przez Hiszpanów.

W okresie lat 1225 do 700 p. n. e. na obszarach tych rozwinęły się wysoko: ceramika, tkactwo, złotnictwo i architektura. Dzięki wielkim systemom irygacyjnym, jakie tylko w części przetrwały do naszych czasów oraz dzięki intensywnemu stosowaniu naturalnego nawozu, jakim jest guano, rolnictwo doszło do poziomu nigdy potem nieosiągalnego w tym regionie. Cywilizacja ta dzieliła się na trzy kręgi, oddzielone od siebie pasmami jałowej pustyni: kultura Mochica na północy, Lima — w centrum i Nazca — na południu.

Najbogatszym źródłem wiedzy o wczesnych kulturach indiańskich, o umiejętnościach technicznych i inteligencji starożytnych Indian są kunsztowne wyroby ceramiczne. Ludzie z północnej części wybrzeża Peru zostawili na nich fascynujące opisy wszystkiego, co zajmowało ich wyobraźnię: ludzi, zwierząt, roślin, motywów geometrycznych, jak również codziennych scen z życia człowieka i kultu bóstw. Rysunki wykonane w kolorach czerwonym i brązowym na jasnożółtym podkładzie glinianym, odznaczają się niezwykłym artyzmem.

Wiele przedmiotów z okresu tej wielkiej cywilizacji przybrzeżnej odkopano obecnie w toku eksploatacji złóż guana. Natrafiono m. in. na liczne wyroby ze złota, miedzi, a także na tkaniny i inne wyroby, które świetnie przetrwały próbę czasu.

Zachowanymi pomnikami starożytnej kultury są również kamienne monolity z płaskorzeźbami postaci ludzkich, które odkryto u podnóża góry Cerro Sechin, 250 mil od stolicy Peru — Limy. Antyczne rzeźby w kamieniu należą do rzadkości w tym kraju i dlatego stojące kamienie stanowią jedną z nierozwiązanych zagadek. Nieznane jest ani ich pochodzenie, ani znaczenie.

W XI i XII w. wielkie cywilizacje przybrzeżne zostały opanowane przez grupę Tiahuanacan, która przybyła z głębi lądu. Między XIII i XV stuleciem rozkwitła na tych terenach nowa cywilizacja, znana jako kultura Chimu. Wówczas to w 1470 r. podboje dokonywane przez Inków dosięgły terenów przybrzeżnych.

W naszych KSIĘGARNIACH

Roszko Janusz: Palenie Judaszy. W-wa 1966. „Iskry", str. 217, cena 10 zł.

Znany krakowski felietonista i reportażysta wystąpił z nowym tomem reportaży będących plonem jego wędrówek przede wszystkim po Polsce południowej. Autor wyszukuje i odtwarza w swych publikacjach ciekawe postaci, ukazując je na tle współczesności, z licznymi zwrotami ku przeszłości. Dużo anegdot — żywy, codzienny język.

Pomykało Wojciech: U źródeł polityki „pojednania". W-wa 1966. Książka i Wiedza, str. 112, cena 3 zł.

Tomik z serii: „Problemy, polemiki, dyskusje". Omawia szerzej sprawy związane z „orędziem polskich biskupów do ich niemieckich braci w Chrystusie". Autor przedstawia w publikacji tło, na jakim powstało orędzie oraz reperkusje, jakie wywołało w krajach Europy i Ameryki.

Laxnes Haldór: Czysty ton. W-wa 1966. PIW, str. 320, cena 20 zł. KiK.

Powieść jednego z najwybitniejszych pisarzy islandzkich (urodzony w 1902 r.) pełna miłości dla ludzi i zwierząt, dla pięknej ziemi Północy z jej sagami i legendami, przedstawia życie ludzi w Rejkjawiku w pierwszych latach XX stulecia.

Mańkowski Jerzy: Ballada sierpniowa. Poznań 1966. Wydawnictwo Poznańskie, str. 146, cena 10 zł.

Debiut książkowy poznańskiego eseisty i krytyka, zajmującego się problemami wojny. Luźne epizody, z których powieść się składa tworzą zwartą całość podporządkowaną konstrukcyjnie jednej idei.

Kisielewski Władysław: Batalion śmiałych. Lublin 1966. Wydawnictwo Lubelskie, str. 169.

Książka powstała w oparciu o relacje naocznych świadków i uczestników walk w Bieszczadach, ukazuje zmagania żołnierzy i funkcjonariuszy MO z bandami UPA. Wprowadza dużo bieszczadzkich realiów, uderza autentyzmem zdarzeń.

Brophy Brigid: Bal noworoczny. W-wa 1966. PIW, str. 176, cena 12 zł.

Pierwsza wydana w Polsce powieść angielskiej autorki. Akcent położony tu został na głębię psychologiczną postaci i ich rozmyślań o przeznaczeniu, miłości i śmierci.

Neugebauer Zbigniew: Wracajcie szczęśliwie do bazy. W-wa 1966. Książka i Wiedza, str. 367, cena 20 zł.

Zbiór opowiadań przedstawiających przygody młodego żołnierza polskiego w okresie tułaczki po Europie zachodniej w okresie II wojny światowej. Ciekawe spostrzeżenia z walk żołnierzy polskich we Francji, Anglii i Niemczech. Dużo realiów obyczajowych związanych z pobytem jednostek polskich w Szkocji.

Wznowienia

Broniewska Janina: Dziesięć serc czerwiennych. W-wa 1966. „Iskry", str. 251, cena 10 zł.

Stendhal: Czerwone i czarne. W-wa 1966. PIW, str. 617, cena 30 zł.

Rolland Romain: Colas Breugnon. W-wa 1966. PIW, str. 205, cena 30 zł.

CANNES po raz dwudziesty

Nigdy jeszcze kinematografia polska nie była tak silnie reprezentowana na międzynarodowym festiwalu filmowym w Cannes, jak na tegorocznej jubileuszowej, dwudziestej z kolei imprezie (5—20 maja). Pierwszą pozycją fabularną, której przypadł zaszczyt zainaugurowania

Do Cannes przybyła w tych dniach jedna z najpopularniejszych włoskich aktorek, Monica Vitti, która będzie uczestniczyć w uroczystym pokazie filmu „Modesta Blaise", reprezentującym na Festiwalu Filmowym kinematografię Włoch.

Na zdjęciu: Monice Vitti przed hotelem „Carlton" w Cannes.

pokazów konkursowych, są „Popioły" Andrzeja Wajdy; również na zakończenie festiwalu przedstawiony będzie polski film — „Faraon" Jerzego Kawalerowicza. Dodać do tego należy film „Lenin w Polsce" reż. Sergiusza Jutkiewicza, nakręcony w naszym kraju przy współudziale polskich realizatorów i aktorów.

Łącznie podczas tegorocznego festiwalu na Lazurowym Wybrzeżu pokazane będą 23 filmy fabularne, nie licząc wielu tytułów, które prezentowane będą podczas Tygodnia Krytyki, przeglądu filmów nie ukończonych oraz na pokazach komercyjnych.

A oto niektóre filmy konkursowe: Czechosłowacja przedstawi nowy film Vojtecha Jasny'ego „Fajki" wg opowiadań Erenburga, Dania — „Głód" wg powieści Hamsuna w reżyserii Henninga Carlsena, Hiszpania — „Falstaffa" w reżyserii słynnego twórcy amerykańskiego Orsona Wellesa (wg „Henryka IV" Szekspira) z Jeanne Moreau, Johnem Gielgudem i Mariną Vlady, Włochy — „Armię Brancaleone" Mario Monicellego oraz „Panie i panowie" Pietro Germiego; barwy francusko-brytyjskie reprezentować będzie film „Mademoiselle" znanego twórcy Tony Richardsona z Jeanne Moreau, Anglię — „Alfie" reż. Lewisa i Gilberta i „Modesty Blaise" Josepha Loseya z Moniką Vitti i Terence Stampem, Węgry — dramat, którego akcja rozgrywa się w 1860 r., „Bez nadziei" reż. Miklosa Jancso, Rumunię — „Rascoala", Szwecję — „Wyspa" reż. Alfa Sjoeberga z Per Myrbergiem, Bibi Anderson i Karin Kavli, NRF — „Es" reż. Ulricha Schamoni i „Der junge Toerles" reż. Volkera Schioendorffa wg powieści Roberta Musila. Stany Zjednoczone miały przedstawić film „Człowiek zwany Adamem" reż. Leo Penna (z Sammy Davisem i Luisem Armstrongiem), który jednak w ostatniej chwili wycofano, ponieważ nie został jeszcze ukończony.

W jury tegorocznego festiwalu zasiądą: Sophia Loren (Włochy), Julij Rajzman (ZSRR), Denis Marion (Belgia), Vinicius de Moraes (Brazylia), Richard Lester (Anglia), Olivia de Havilland (USA), Tetsuro Furukaki (Japonia). Dwoje ostatnich — przewodniczyło niegdyś sądom konkursowym w Cannes, podobnie jak wszyscy reprezentanci Francji w tegorocznym jury: André Maurois, Marcel Achard, Maurice Genevoix, Marcel Pagnol, Jean Giono, Armand Salacrou i Maurice Lehmann.

W ramach Tygodnia Krytyki przedstawionych zostanie dziesięć filmów, m. in. czechosłowacki „Odwaga na co dzień" reż. Ewalda Schorma.

Z okazji jubileuszu odbędzie się w Cannes szereg imprez o charakterze kulturalnym. Większość krajów uczestniczących w imprezie wystąpi ze specjalnymi programami. M. in. Japonia, która nie będzie reprezentowana w konkursie, przedstawi zespoły tradycyjnego tańca i śpiewu, Szwedzi — balet „Panna Julia", Brazylia — zespół „Samba", Szwajcaria — chór ludowy regionu alpejskiego. Gospodarze zaprezentują m. in. konkurs kwiatów; odbędzie się też recital Gilberta Bécaud.

Uczestników festiwalu czeka jeden dzień przymusowego wypoczynku w związku z zapowiedzianym na 17 maja strajkiem pracowników służb publicznych sektora znacjonalizowanego. Pozbawi to miasto elektryczności.

(Kt-PAP)

Członkowie honorowi Towarzystwa Ognisk Artystycznych

Towarzystwo Muzyczne w Rzeszowie na podstawie uchwały walnego zgromadzenia zmieniło nazwę na Towarzystwo Ognisk Artystycznych. W związku z szerokimi planami popularyzacji sztuki, a nie tylko muzyki, dotychczasowa nazwa stała się nieaktualna.

Walne zgromadzenie w uznaniu zasług w dziedzinie popularyzacji muzyki, rozwoju i organizacji społecznych ognisk muzycznych w woj. rzeszowskim, nadało godność członków honorowych Towarzystwa: Antoniemu Harasiewiczowi, Tomaszowi Czapli, Kazimierzowi Ficowi, Walerianowi Lesińskiemu i Henrykowi Paraniakowi.

Tytuły członków honorowych zostały nadane po raz pierwszy.

HELENA MAJEWSKA — artysta plastyk
Rys. J. SIENKIEWICZ

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

P.R. — Sędziszów Młp. Z wierszy nie skorzystamy. To są raczej szkice, notatki, pomysły do liryków, a nie dojrzałe utwory. Pomysły zresztą nie najwyższej jakości. Trudno nam zdecydowanie odpowiedzieć na Pana pytanie, czy warto sobie zawracać głowę, ale nie radzimy w tych próbach pokładać zbyt dużych nadziei.

O. Z. Rzeszów: Wiersz „Krzyk" jest zbyt rozgadany i istotnie zbyt krzykliwy. Należy unikać patetycznej retoryki — zawołań takich jak „Zbrodniarze" Ludzie! Nie! To osłabia ekspresję wiersza, a nie potęguje. Bardziej interesujący jest drugi utwór „Pyłek" — spokojniejszy i bardziej zwarty w nastroju. Ale i on jest za mało syntetyczny, zbyt werbalny. Należy chyba dążyć do większej skrótowości formy, do kondensacji obrazu i myśli. Radzimy kontynuować próby.

Cz. M. Sobów, pow. Tarnobrzeg: Za dużo w nadesłanych tekstach snów promiennych, harf pozłocistych, brylantowych fal, muślinowych obłoków itd. To powoduje, iż wiersze są banalne, wtórne i zbyt karmelkowe. Ulega Pan w swych utworach przebrzmiałym konwencjom lirycznym. Należy szukać własnego wyrazu poetyckiego.

Barbara W. — Krosno: Opowiadanko nie ma niestety wartości literackich. Nadaje się tylko jako ciekawa anegdota do opowiedzenia w towarzystwie. Jeśli inne są tego samego rodzaju, nie warto się łudzić.

St. J. Rzeszów: — Nie skorzystamy.

F. C. Przemyśl: Wiersze nas zainteresowały. Prosimy o nadesłanie większego wyboru i możliwie w maszynopisie.

Zdarzenia tygodnia

KRONIKA „Dni Oświaty Książki i Prasy"

W dniu 4 bm. w Mielcu odbył się II Festiwal Kulturalny Młodzieży, na który złożyły się występy zespołów: chóru Liceum Pedagogicznego, zespołu instrumentalnego Technikum Mechanicznego i zespołu „Monsuny" z Dębicy

• • •

Komitet Powiatowy ZMS i Wydz. Kultury Prez. PRN w Mielcu zorganizowały sesję popularnonaukową pod hasłem: „Mielec w przeszłości i przyszłości". Uczniowie Liceów Ogólnokształcących oraz Technikum Mechanicznego wygłosili referaty, zapoznające zebranych z historią Mielca, osiągnięciami nauki i oświaty, rozwojem gospodarczym oraz rolą organizacji młodzieżowych w życiu społeczno-politycznym powiatu.

• • •

W dniach od 5 do 7 bm. w Powiatowym Domu Kultury w Sędziszowie, odbył się festiwal pieśni i muzyki ludowej powiatu ropczyckiego.

• • •

7 bm. w Tarnobrzegu obchodzono Dzień Działacza Kultury. W uroczystości wzięło udział 80 działaczy. Wielu z nich otrzymało nagrody za osiągnięcie dobrych wyników w pracy nad upowszechnianiem kultury. W dniu Działacza Kultury w Tarnobrzegu wziął udział pisarz Jan Łysakowski.

• • •

W dzielnicy Rzeszowa, Drabiniance otwarto nowocześnie wyposażoną filię biblioteczną.

W miejscowościach pow. lubaczowskiego: Stare Sioło, Gorajec, Dziewięcierz i Lubomierz otwarto filie biblioteczne w miejscowych PGR-ach. 2 punkty biblioteczne otwarto w dwóch wsiach powiatu tarnobrzeskiego, tj. w Agatówce i Posaniu.

W miejscowości Podgrodzie pow. Dębica oddano do użytku Dom Ludowy, w którym otwarto wiejską galerię sztuki i izbę pamiątek.

• • •

8 bm. w Powiatowym Domu Kultury w Sanoku odbył się konkurs zespołów muzycznych pionu spółdzielczego. W popisach wzięło udział 7 zespołów.

• • •

Również w niedzielę, w Kolbuszowej, odbył się festiwal piosenki harcerskiej, w którym wzięło udział 57 wykonawców.

• • •

W Przemyślu odbył się koncert laureatów eliminacji powiatowych XII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.

• • •

W Żyrakowie, pow. Dębica, odbyło się przekazanie miejscowej szkole podstawowej obrazów i grafik, darów rzeszowskich artystów grafików.

• • •

W Tarnobrzegu, Łańcucie, Zabratówce, pow. Rzeszów, Nisku, Stalowej Woli i Rozwadowie odbyły się spotkania z Krystyną Żywulską, natomiast w Kolbuszowej, Jarosławiu, Rzeszowie, Lubaczowie, Mielcu i Ropczycach z Józefem Henem. Jalu Kurek spotkał się z mieszkańcami Sanoka, Tyczyna i Rzeszowa.

ALBOŚMY TO CACY, CACY...

NIESPODZIANKA

Pomyśleć tylko obywatele, co się dzieje na świecie. Człek przestaje się czemukolwiek dziwować. Ostatnio w miłym powiatowym miasteczku nad Wisłokiem, na rozprawę sądową nie zgłosił się jeden ze świadków. Sąd zarządził więc przymusowe doprowadzenie świadka. Ba! Łatwo powiedzieć. Doprowadźcie „drogiego nieobecnego", który od dwóch lat wiecznie sobie odpoczywa na miejscowym cmentarzu. Ale takie drobnostki nikogo dzisiaj już nie bawią. Czy słyszał ktoś, że gdzieś skradziono nieboszczyka!? To nie wolne żarty, proszę szanownych przyjacieli. Fakt jest faktem, w Stalowej Woli nie za sprawą karzełków ani złych duszków nieboszczyk ulotnił się. Przypomina mi się refren popularnej piosenki: „Grunt to rodzinka".

Co za radość. Łatwo wyobrazić sobie. Ni stąd ni zowąd, w szary, codzienny dzionek otwieracie drzwi własnego domu, a na progu rzuca się wam na szyję, ładowana ciocia z Ameryki. Miła niespodzianka!

Gdy latem ubiegłego roku po 55 latach pobytu w USA powrócił do Polski Michał C. radość rodzinki nie miała granic. Michał przyjechał do Gwoździec, aby tu, w rodzinnych stronach dokończyć pracowitego żywota. Radość nie trwała jednak zbyt długo. Gdy Michał C. zorientował się, że troskliwy i przedsiębiorczy braciszek niemiłosiernie eksploatuje go z dolarów, opuścił rodzinkę i zamieszkał w hotelu w Rzeszowie. Widocznie nie dane było „cieplemu" braciszkowi z „Hameryki" być skazanym na samotność. Drogim stryjaszkiem zainteresowała się teraz bratanica, ofiarując mu opiekę nad nim i nad pozostałymi dolarami. Wydaje się, że tym razem korzyści, jak i zadowolenie były obopólne. Z tym stanem rzeczy nie mógł się pogodzić dobry braciszek, ojciec sprytnej bratanicy. Stan zdrowia Michała C. nagle się pogorszył. Skończyły się jego troski. Przewędrowawszy obie półkule dokończył żywota na polskiej ziemi. Gdy tylko zamknął zmęczone oczy, ojciec i córka poczekawszy krzynę, rozpoczęli zacięty pojedynek o resztki po nieboszczyku. Nie wiadomo, czym by się to rodzinne nieporozumienie skończyło, gdyby nie bardziej doświadczony tato „odtrąbił" odwrót, jako pokonany. Fortel się powiódł. Kiedy córunia wraz z mężem załatwiała żałobne formalności, nie wiedziała, jaka czeka ją niespodzianka. Sprytny tato wraz z synalkiem wyłamał drzwi i ukradł ukochanego brata, uwożąc go do odległego o kilkadziesiąt kilometrów Nowego Narta.

Podobno obywatel C. uczynił to z głębszych pobudek i po porozumieniu się z proboszczem tej gromady. Jako dobry katolik nie chciał, aby najdroższy braciszek leżał na cmentarzu wśród stalowowolskich komunistów.

Stalowowolskie wróbelki ćwierkają jednak, że chodziło o dolary — o spadek, który rzekomo ma otrzymać ten, kto pochowa „amerykanina".

A może spadku nie ma?

To dopiero byłaby n i e s p o d z i a n k a dla dobrego katolika.

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Pr asa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: 2056, 2057 — wewn. 198. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.